

Józef Poniatowski

Redaktor "Orła Białego" odchodzi

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 339-349

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

REDAKTOR „ORLA BIAŁEGO” ODCHODZI*

Rzym, 9 listopada 1944 r., czwartek

[...] Od chwili odejścia Czapskiego i przyjścia na jego miejsce rotmistrza Świącickiego, a powyżej — Bąkiewicza, stosunki w naszym Oddziale zaczęły się psuć. Przyjęto sporo nowych osób, prawie w całości z Dwójki, które nie raczyły ani przedstawić się dawnym współpracownikom, ani można zrozumieć, co robią. Nastąpiła atmosfera obca i nieprzyjemna. Szczególnie to wzrosło po przeniesieniu się naszym z Neapolu do Rzymu. Widoczne było także, że psują się stosunki z gen. A[ndersem]. Zamiast dawnych pochwał, zainteresowania, obrony „Orla” przed krytyką, poczęły nas dochodzić głosy niezadowolenia, złośliwej krytyki.

Początek tego zbiegł się jeszcze z dymisją Czapskiego w czerwcu. Mianowicie Bielatowicz, b[ly] kierownik działu literackiego w naszej redakcji, liniowy podchorąży z Karpackiej, tobrukczyk, sympatyczny chłop, choć zajadły endek, napisał artykuł pt. *Libia i Cassino*, gdzie przeprowadza porównanie obu kampanii, przeciwstawiając się lekceważeniu tamtej pierwszej, choć mniejszej. Artykuł mógł wzbudzić w wojsku trochę kwasów, jak zawsze, gdy się chwali jakąś akcją, gdzie nie wszyscy byli. Giedroyc jednak nalegał, że to bardzo dobre, Kopciowi także się podobało, a ostatecznie sama myśl obrony przed zapomnieniem i tamtych wartości wydawała się słuszna. Po namyśle więc artykuł puściłem, nieco go jedynie łagodząc, a w szczególności zmieniając przeciwstawienia na zestawienia.

Skutek był piorunujący. Przez wiele dni każdy przyjeżdżający z Korpusu opowiadał nam jaki gen. A[nders] jest wściekły z powodu tego artykułu, jak uważa, że to jest pomniejszanie zwycięstwa pod Cassinem itd., pomimo, że od zwycięstwa upłynęło już 3 tygodnie, a „Orzeł” był przez ten czas pełen artykułów sławiących Cassino.

Badajże tegoż dnia, w którym była wspomniana pierwsza odprawa Bąkiewicza, przysłano nam numer „Orla” z owym artykułem i napisem szefa sztabu pułk. Wiśniowskiego: „Co za dureń to napisał? Odpowiedzialny redaktor zamelduje się u mnie”. Giedroyc postanowił jechać wraz ze mną, uważając się za współodpowiedzialnego. Przyszedł jeszcze rozkaz, że zameldować się mamy w formie raportu. Miał nas przedstawić do raportu Bąkiewicz tam się już znajdujący.

Korpus stał w tym czasie na południe od Pescary. Pojechaliśmy lazikiem prowadzonym przez por. Kowalewskiego. Droga piękna w poprzek Półwyspu niespełna 300 km. Przenocowaliśmy w Vesco, ciekawym starym miasteczku już nad Adriatykiem, rano przyjechaliśmy do kwatery głównej w gaju oliwnym. Chociaż byliśmy na ten dzień zamówieni, okazało się, że Generał wyjechał do Rzymu, pplk B[ąkiewicz] nie wiem dokąd, a plk W[śniowski] także wyjechał, ale na krócej. Istotnie, pod wieczór się zjawił. Przyjął nasz raport w samochodzie, w którym urzęduje.

Podobno porządny jest chłop i bliski gen. Sosnkowskiemu, ale nie powiem, żeby mi odniósł najlepsze wrażenie. Najpierw indagował Giedroycia, potem mnie, ale żadnego z nas nie pytał o to, jak rozumiemy artykuł, dlaczego uznaliśmy go za możliwy, tylko pytał, czy uważaliśmy go za pożyteczny, a twierdzącymi odpowiedziami tak był zdumiony, że już nie dyskutował więcej, tylko oświadczył, że nie nadajemy się wobec tego do pełnienia funkcji i zostaniemy ukarani. Cała rozmowa była na stojąco, a na pożegnanie nawet ręki nie podał. To drobiazgi, ale odczułem przepaść

* Fragment rękopisu pamiętnika Józefa Poniatowskiego (1897–1995) — ekonomisty, redaktora naczelnego „Orla Białego” na Bliskim Wschodzie i we Włoszech (1942–1944), ministra Spraw Krajowych w gabinecie dra Stanisława Ostrowskiego w Londynie, doktora honoris causa PUNO, kawalera orderu Polonia Restituta.

W nawiasach kwadratowych rozwinięto skróty i dodano niezbędne szczegóły. Wprowadzono drobne zmiany ortograficzne i interpunkcyjne. Ujednolicono pisownię słowa „Korpus”. Daty są datami zapisków. Niektórych słów nie udało się odczytać z powodu zabrudzenia atramentem — Florian Śmieja.

między umysłowością tego zawodowego oficera, wcale nie gorszego od przeciętnej, raczej przeciwnie, a cywilnym sposobem myślenia.

Skończyło się na tym, że dostaliśmy po 2 tygodnie aresztu domowego, co prawie nie zmieniło naszego trybu życia, ale z uwagi na nonsensowność faktu namyślałem się, czy by się nie podać do dymisji, zwłaszcza, że umotywowanie rozkazu o ukaranie było nieprzyzwoite, mówiło bowiem o zamieszczeniu artykułu obniżającego wartość wysiłku Korpusu itp. brednie. Ponieważ jednak rozgrywała się gra o sprawy ważniejsze, a płk W[isniowski] wciąż uchodził za przyjaznego naszej postawie, więc ograniczyłem się do złożenia drogą służbową, po odbyciu kary, obszernego zażalenia do d[owód]cy Korpusu, z wyraźnym zaznaczeniem, że za artykuł Bielatowicza przyjmuję pełną odpowiedzialność i proszę o unieważnienie kary nie z powodu jej wymiaru, a tylko uzasadnienia. Odpowiedzi dotąd nie otrzymałem.

Rzym, 12 listopada 1944, niedziela

[...] Dalszy rozwój naszego kryzysu propagandowego polegał na stopniowym rozszerzaniu się dystansu między nami i gen. A[ndersem], w czym jego odprawa w Campobasso, potem przyście Bąkiewicza i odejście Czapskiego były tylko etapami, a awantura o artykuł Bielatowicza — wskaźnikiem, że wiele się zmieniło. Przyczyny tego zewnętrzne są łatwo zrozumiałe: odległość, niedostateczny kontakt i niezyciliwe nam otoczenie, tłumaczące każdy nasz krok i artykuł na naszą niekorzyść. W szczególności mam tu na myśli i Bąkiewicza i Strońskiego, ale i parę innych osób rolę odegrało, a i nie obeszło się bez wpływów angielskich, zwalczających nas coraz wyraźniej, w szczególności usiłujących wmówić, jakobyśmy dążyli do osłabienia przyjaźni polsko-angielskiej, a może i do zerwania Polski z obozem sprzymierzonych!

Mamy, niestety, pewne dane do przypuszczenia, że obok tej przyczyny zewnętrznej działa inny czynnik, może w części zależny od tamtego — stopniowe rozchodzenie się linii taktycznej generała z naszą. Skoro zaś nasza linia żadnej zmianie, poza koniecznym wzmocnieniem, nie uległa, a jednak staje się coraz mniej wygodna — wnioski same się nasuwają.

Rzym, 13 listopada 1944 r., poniedziałek

Nie chciałbym, by powyższe zdanie mogło być rozumiane przesadnie. Nie podzielałam metody myślenia tych, którzy każde zawahanie się, czy pośliżnięcie potępiają jako niemal zdradę. Rozumiem, że można różnymi drogami dążyć do jednego celu i nie mam powodu twierdzić, jakby co do celu istniała różnica między nami i naszym d[owód]cą. Nie ulega wątpliwości, że ma on duże ambicje, ale brak mi elementów do stwierdzenia, na którym szczeblu hierarchii celów te osobiste ambicje lokuje. Natomiast to, co mogę stwierdzić z całą pewnością, to że kontynuowanie przez nas bezkompromisowej walki z polityką ugody i chodzenia na obcym pasku, reprezentowaną przez rząd p. Mikołajczyka — przestało mu dogadzać. Że zaczęły się różne zastrzeżenia, „okresy zwłoki” itp. No i dążenie do uczynienia całego aparatu propagandowego bardziej „elastycznym” i „dyspozycyjnym”.

Sytuacja uległa zaostrzeniu w końcu sierpnia i początku września. Powstanie warszawskie, sporo dokumentów, które w tym czasie mieliśmy możliwość poznać, rosnący konflikt między Naczelnym Wodzem i rządem, pierwsza podróż Mikołajczyka do Moskwy, a wreszcie historyczne memorandum, zmusiły nas do dalszego zaostrzenia tonu. Pisząc w zastępstwie chorego Ryszarda [Piestrzyńskiego] „przegląd tygodniowy” w nrze z 23 lipca uważałem za konieczne ostrzec, że ktokolwiek chciałby odegrać rolę polskiego Hachy, napotka jednolity odpór II Korpusu. W Londynie to zrozumieli i Prezydent R.P. interweniował w tej sprawie (obok innych) u Naczelnego Wodza. Mikołajczyk w drodze powrotnej z Moskwy opowiadał w Kairze, że Stalin pokazywał mu z wypowiedzi numer „Orla”. Cenzura angielska przez kilka dni próbowała zastosować twardą politykę wobec nas, co zresztą długo nie trwało, ale kłopotu narobiło. Po wizycie Churchilla u gen. Andersa wylewaliśmy wręcz zimną wodę na nieuzasadniony optymizm, który nagle powstał i to wywołało duże niezadowolenie tak angielskiego generała Beaumont-Nesbitta jak i gen. A[ndersa].

Po jeszcze jednej nieciekawej odprawie Bąkiewicza, gdzieś na początku lub w połowie września przyjechał na odprawę z nami gen. Anders. Poświęcił ją głównie 2 sprawom, tj. sprawozdaniu z swej rozmowy z Churchillem oraz usprawiedliwieniu wydanego mu zakazu ogłoszenia słynnego rozkazu Naczelnego Wodza nr 19, stanowiącego protest przeciw postawie sprzymierzeńców i Rosji wobec Warszawy. Jego optymizm wobec obietnic Churchilla i nie dość stanowcze słowa o Miko-

lajczyku były równie przykre, jak mętny stosunek do Naczelnego Wodza. Odmówił wysłania depechy do Londynu, co proponował Gierat, natomiast obiecał zastanowić się, czy nie wydać nowego rozkazu do wojska, malującego sytuację. Oświadczył też, że być może, pojedzie sam wkrótce do Londynu. Dyskusja wiele ciekawego nie wniosła.

Na krótko przedtem Bąkiewicz miał trzecią odprawę, na której zaatakował nas za artykuł z kół słowackich, oświadczył, że wolno tylko pisać to, co ma służyć zachęceniu W[ielkiej] Brytanii i St[anów] Zjedn[oczonych] do popierania naszej sprawy, a nie rozpraszać wysiłków na inne sprawy, wreszcie zapowiedział, że kto chce, może się zapisywać na rozmowy u niego zaczynając od dnia następnego. Widocznie dyskusji publicznych miał już dość. Zapisalem się wtedy, ale rozmowy nigdy nie uzyskałem. Rozeszły się zresztą wieści, że plk B[ąkiewicz] ma odejść.

Nastąpiła uchwała Rady Ministrów wzywająca do usunięcia gen. Sosnkowskiego i w tym samym kierunku interwencja Edena. Gen. A[nders] wyjechał do Londynu wraz z pplk. B[ąkiewiczem]. Zaraz prawie po powrocie ten ostatni miał u nas znowu odprawę, tym razem ostatnią i tylko dla prasy. Oświadczył, że gen. A[nders] rozmawiał w Londynie obok Prezydenta i N[aczelnego] Wodza także z Mikołajczykiem, z Edenem, z szefem imperialnego sztabu marsz[alkiem] Allan Brookiem, bodaj także z Churchilllem. Wynikało z tego, że N[aczelny] Wódz jest w bardzo trudnej sytuacji, w której zapewne się nie utrzyma i że ze strony naszego Korpusu w osobie jego d[owódcy] nie otrzymał w tej sytuacji poparcia. Tego *explicite* B[ąkiewicz] nie powiedział, ale wynikało to wyraźnie z jego niemal cynicznego sprawozdania. Mówił i o innych sprawach, mówił jakieś ogólnikowe niesmaczne zarzuty, aż oświadczył, że taka jak zreferował jest obecna linia generała i kto się z tą nową linią nie zgadza, powinien nazajutrz lojalnie zameldować, że nie zgadza się i nie może wobec tego pracować w propagandzie. Specjalnie co do „Orla”, obok krytyki niedoskonałości działania itd. stwierdził jednak, że wie o tym, że redakcja nadzwyczaj ofiarnie pracuje po kilkanaście godzin dziennie, że w Londynie „Orzeł” jest rozchwytywany nawet przez przeciwników i że poziom jest rzeczywiście bardzo wysoki, „może zbyt wysoki w stosunku do potrzeb”. Dodał, że jeśli się okaże, że nie zgadzamy się z obecną linią i odejdziemy, to trzeba będzie rzecz zorganizować bardziej po wojskowemu, zapewne poziom będzie niższy, ale za to będzie to sprawniejsze narzędzie działania. Dyskusji, jak zwykle z wyjątkiem pierwszej odprawy, nie otwierał, natomiast na końcu oświadczył, że ostatni raz z nami rozmawia, bo odchodzi ze stanowiska, natomiast w najbliższym czasie odbędzie z nami ponowną odprawę gen. Anders.

Ta ostatnia wiadomość znowu wstrzymała nas od wyciągania konsekwencji z tego, co usłyszeliśmy, bo skoro generał ma z nami mówić, byłoby nieprzyzwoitością ustępowanie tuż przedtem, no i nierozsądkiem, bo mogą przyjść nowe elementy.

Odprawa ta jednak nie doszła do skutku, natomiast przysłała wiadomość o dymisji Giedroycia, zamierzonej jeszcze przed podróżą londyńską.

Gierat i Świącicki pojechali do Korpusu. Po kilku dniach wrócili — przez ten czas właśnie zaszła dymisja Naczelnego Wodza i mianowanie gen. Bora-Komorowskiego. To ostatnie zrobiło piorunujące wrażenie i na razie poprawiło nasze stanowisko oraz ułatwiło rozmowy Gieratowi. Stało się bowiem oczywiste, że ambicje zbyt już niewstrzemięźliwie ujawnione, zostały tym razem całkowicie zawiedzione, a wkrótce potem dostanie się gen. Komorowskiego do niewoli nie poprawiło sytuacji gen. A[ndersa], faktyczna bowiem władza w zakresie operacyjnym znalazła się w rękach jego podwładnego, gen. Kopańskiego, z którym na pewno nie łączyły go więzy nadmiernej sympatii. To rozumieli nawet podwładni i na odprawie wyższych oficerów uchwalono zupełnie niezły tekst depechy z wyrazami niepokoju o losy Polski do Prezydenta R.P. a tekst depechy podał gen. Anders do wiadomości wojska w rozkazie. Ponadto obiecał zwolnić Świącickiego, z tym, że wzrósłby wpływ Gierata.

Jednakże dymisja Giedroycia nie została cofnięta, a do tego doszła dymisja Zielińskiego i Sapińskiego. Mój artykuł z powodu odejścia w znanych warunkach Naczelnego Wodza został uznany za „defetystyczny” i nie podobał się, jak również inne rzeczy w „Orle”. Instrukcje, które Gierat i Świącicki obwieścili nam na odprawie po powrocie od generała nie zawierały właściwie nic nowego, albo sprzecznego z naszą linią, ale sytuacja pozostawała niewyjaśniona.

Rzym, 18 listopada 1944 r., sobota

W tym czasie, o ile w dobrze zgranej grupie należałoby oczekiwać większej zwartości w obliczu grozy położenia ogólnego, a zarazem zagrożenia naszego odcinka pracy, co w pewnej mierze

ujawniło się po dymisji Czapskiego, ale na krótko, a i potem parokrotnie, zawsze przejściowo — tym razem stan rzeczy raczej ujawniał pogorszenie. Wzajemne rozdziewki stały się częstsze i ostrzejsze. W szczególności Kopeć i Ulatowski stworzyli grupę, tym osobliwą, że przez dłuższy czas z sobą nie rozmawiali, obrażeni, ale podtrzymywali się w sprawach politycznych i zaczęli urabiać taki pogląd, że teraz sytuacja jest już tak jasna, że ludzie dzielą się nie według przekonań czy metod, ale według charakterów i oni są ci dwaj niezłomni, którzy chcą „coś” zrobić, a my wszyscy jesteście kunktatorzy, którzy się w decydującej chwili załamają. Obaj też zarzucali, jakby „Orzeł” zmienił linię, a mianowicie rzekomo ją złagodził, właśnie wtedy, gdyby sytuacja wymagała zaostżenia.

Rzecz prosta, że w normalnych warunkach powiedzialoby się po prostu gościom: nie podobają się wam nasze twarze — doberciecie sobie inne towarzystwo i nawzajem. Tu jednak takie oświadczenie wyszłoby na złe pracy i stąd ciągly wysilek, żeby jakoś te wewnętrzne stosunki zakłajstrować, byle robota szła. Najwięcej wysiłku w to łagodzenie i uzgadnianie włożył Gierat, poza tym zaczęły się co dni kilka konferencje mające dać wspólne stanowisko, często burzliwe, trochę przypominające dyskusje akademickie, a sprawujące największą przyjemność Kopciowi, który nawet na czczo bardzo potrzebuje mieć słuchaczy, a po szklaneczce, czy paru, wina zaczyna „przemawiać” nie dopuszczając innych do głosu i wygłaszając nader sugestywnym i uczuciowym tonem mętne zdania, pełne ogólników.

Co do mnie, będąc z natury bardziej skłonny do refleksji, byłem skłonny uważać się za skrzydło konserwatywne, „kunktatorskie”, przeciwne nieprzemysłanym eksperymentom. Z drugiej jednak strony jestem zwolennikiem logiki w działaniu i nie lubię linii wahającej się i zamazanej. Z tego powodu znalazłem się kilkakrotnie raczej po stronie skrzydła radykalnego, gdy Gierat wciąż uosabiał ostrożność, Piestrzyński nawet ją zwiększył, a Giedroyć, który dawniej zawsze był po stronie każdej inicjatywy i skrajności, już przed otrzymaniem dymisji, a zwłaszcza w okresie, gdy była ona przedmiotem dyskusji — wykonał niespodzianą dla mnie woltę w kierunku taktyki wycozekującej. W szczególności uderzyło mnie, że gdy we trzech u Gierata omawialiśmy mój artykuł o Sosnkowskim, oni obaj bardzo silnie dążyli do złagodzenia, a Giedroyć wręcz zaproponował, żeby m zdanie o tym, iż murem stoimy za nim, zmienić w ten sposób, że stoimy za Sosnkowskim i za Andersem, co w danym razie nie miałyby sensu i na co się nie zgodziliśmy po dość ostrej wymianie słów. Musiałem i tak przyjąć dość bolesne poprawki Gierata. Temu ostatniemu się nie dziwię, bo zawsze unikał zaostżenia sytuacji bez konieczności, ale Giedroyć tym razem zupełnie nie pasował do swej dawnej roli.

Było dla mnie jasne, że jeśli wszyscy bronili artykułów, zwłaszcza Ulatowskiego, bardzo rozgrzewających nastrój antyrządowy, to konsekwencją tego musi być albo doprowadzenie do ostrego wystąpienia generała przeciw rządowi, albo konflikt nasz z generałem, bo zejść z tej drogi nie możemy bez ujemnego wpływu na postawę wojska. Skoro bowiem powtarza się tak dobitnie, że jest źle, żołnierz ma prawo stawiać pytanie: co dalej i co zamierzacie, żeby złe przerwać? Tym bardziej, gdy polityka ustępstw jest coraz bardziej katastrofalna, naciski angielskie są coraz silniejsze i każdy dzień może przynieść utratę legalności.

Po odejściu gen Sosnkowskiego powstało jeszcze nowe niebezpieczeństwo: możność zabrania z Korpusu gen. Andersa, w drodze np. przeniesienia go na równorzędne, a choćby wyższe stanowisko. Przecież wymieniano już nazwiska następców, którzy stanowczo ukróciłiby niemilą rządowi propagandę. W ten sposób nie tylko cały wysilek uległby zmarowaniu, o to mniejsza, ale co gorsza, zniszczony byłby jedyny dziś na obczyźnie ośrodek woli walki o niepodległość, którym jest nasz Korpus.

Przyszła druga konferencja moskiewska. Ulatowski napisał dość ostry artykuł *Elementy decyzji*, który jednak znacznie złagodziliśmy. Gdy przyszła wiadomość, że Mikołajczyk wyjechał na razie nic nie podpisawszy, dodaliśmy notatkę Kopcia *Z ostatniej chwili* wyjaśniającą, że wprawdzie katastrofa jeszcze nie nastąpiła, groza nie przeminęła, bo p. Mik[olajczyk] jadąc już musiał brać swoje memorandum za punkt wyjścia i gotować się na dalsze ustępstwa.

W tym czasie nasi „radykali” uznali, że pisać jest za mało, że trzeba natychmiast żądać, by Anders domagał się dymisji rządu, należy tymczasem tutaj tworzyć jakiś komitet, który przejąłby funkcje, gdyby rządowi wypadło odmówić dalszego uznania itd. Zrobiliśmy jedno zebranie u Gierata — bez uzgodnienia, drugie u Janikowskiego, gdzie zostało uzgodnione właściwie jednogłośnie, że Gierat pojedzie wkrótce do Andersa, wyłoży mu sytuację i skłoni do wysłania depechy do Prezydenta, ew[entualnie] ogłoszonej w rozkazie, domagającej się dymisji rządu. Gdyby w ciągu

dwu tygodni Prezydent nie odpowiedział, należałoby uznać, że nie ma warunków swobodnego wyrażenia swej woli i uznając go nadal za symbol władzy szukać innego oparcia. Gdyby zaś gen. A[nders] nie zgodził się na któryś z etapów proponowanego planu — postanowiliśmy ustąpić z propagandy. Ponadto Gierat miał przedstawić Generalowi punkty obejmujące naszą postawę wobec Anglików, wobec Z.S.R.R. i wobec naszych władz państwowych, przedstawione przeze mnie i przez Ulatowskiego.

Dziś sądzę, że te uchwały były nieco przedwczesne, że gdybyśmy je wykonali — mogliśmy się narazić na zarzut, że wywołujemy konflikt bez konieczności, że wycofujemy się z pracy pod byle pozorem, bo udowodnić, że General chcąc dłużej poczekać byłby na pewno w błędzie — byłoby trudno.

Rzym, 20 listopada 1944 r., poniedziałek

Do tego jednak nie doszło, ponieważ równocześnie z naszym dążeniem do przyspieszenia naciśku ujawniły się dążenia Generała w kierunku przeciwnym — przeczekania, złagodzenia tymczasem tonu. Gierat i Świącicki przywieźli ze sztabu wyrazy ostrego niezadowolenia z powodu ostatniego artykułu Ulatowskiego i notatki *Z ostatniej chwili*. Świącicki jeszcze przed wyjazdem pokazał mi depezę gen. Andersa, mniej więcej takiej treści: „Artykuły *Elementy decyzji, Z ostatniej chwili* w „Orle Białym” uważam za szkodliwe i przekraczają moje wytyczne. Czynie Pana za to odpowiedzialnym, jak również za treść następnego numeru. Pan i kpt. Gierat meldują się u mnie”.

Cały tedy numer w robocie musiał być przedłożony Świącickiemu. Nowy artykuł Ulatowskiego został przez autora wycofany wskutek poprawek rotmistrza. Dużo dyskusji wywołał nadesłany z Kairu doskonale napisany artykuł Julka Mieroszewskiego, naszego byłego współpracownika, a obecnie redaktora „Parady”, pt. *Rubikon Niepodległości*, gdzie autor wykazuje spokojnie, ale z wielką logiką, że polityka Mikołajczyka wobec Rosji nie jest demokratyczna, ponieważ nie popiera jej żadna część naszego społeczeństwa. Na wszelki wypadek ścięliśmy sami parę ostrzejszych zdań oraz dodaliśmy zastrzeżenie, że zwalczając politykę rządu naród nie podaje w najmniejszą wątpliwość legalność tegoż rządu.

Świącicki przyszedł do mnie z dalszymi poprawkami, na które, acz niechętnie, się zgodziłem zaznaczając, że trochę psują one artykuł. Ale po otrzymaniu wspomnianej depezy uznał, że poprawki mogą nie wystarczyć i zabrał artykuł do generała. Gdy już numer był prawie gotów, w części wydrukowany, a w reszcie złożony, nadeszła decyzja generała wstrzymująca druk *Rubikonu* i części spokojnie napisanego przez Piestrzyńskiego *Tygodniowego przeglądu wydarzeń*.

Rzym, 21 listopada 1944 r., wtorek

Po powrocie od generała Świącicki zrobił odprawę, na której i on i Gierat złożyli sprawozdanie z rozmów, ale G[ierat] ograniczył się do suchego i jasnego przedstawienia faktów, natomiast Ś[wiącicki] usiłował polemizować z nami, i mówił także o swej rozmowie z Anglikami w Casermie. M.in. twierdził, że gen. Beaumont-Nesbitt wydał zarządzenie, by cenzura niczego nam nie konfiskowała, co opiera się na prawdzie, a natomiast ma wpływać na kierunek propagandy w drodze rad udzielanych naszym władzom. Przycisnęliśmy Św[iącickiego] do muru kilkakrotnie dosyć boleśnie, głównie Kopeć, Ulatowski i ja.

W tej chwili sobie przypominam, że trochę nieściśle przedstawiłem przebieg zjawisk. Do generała wtedy w końcu października jeździł sam Gierat i miał nasze błogosławieństwo, by wrócił „z tarczą lub na tarczy” tzn. bądź uzyskał wyraźną zgodę na naszą postawę, bądź zgłosił ustąpienie, co i my byśmy poparli. Świącicki zaś pomimo depezy nie pojechał, widocznie jakoś się porozumiał, a tylko jeździł na jeden dzień do Caserty na zebranie cenzorów. Po powrocie Gierata odbyło się w pokoju Kopcia pod etykietą jego imienia [28 X] wieczorne zebranie, na którym G[ierat] oświadczył, że podał się do dymisji, którą generał dość łatwo przyjął, zresztą proponując dalsze rozmowy. W sensie linii nic wyraźnego się nie dowiedział, z wyjątkiem owych krytycznych uwag o „Orle”. Odprawa zaś, o której wyżej wspomniałem, miała miejsce bodaj nazajutrz, jeśli nie w dwa dni potem. Dlatego mi się to pomieszało, że nieco wcześniej jeździli do Korpusu razem i także była wspólna odprawa sprawozdawcza.

Po odprawie 28 X Świącicki zaprosił mnie na chwilę do swego pokoju i tajemniczo poinformował, że generał spodziewa się w najbliższych dniach wyjaśnienia swojej sytuacji w związku

z prowadzoną przez niego korespondencją z Prezydentem w sprawie stanowiska naczelnego wodza. „Jak pan sądzi — zwrócił się do mnie Św[ięcicki] — czy stanowisko generała nie będzie w tych wszystkich rzeczach, o które nam wspólnie chodzi, mocniejsze, jeśli będzie Naczelnym Wodzem, a nie tylko dowódcą Korpusu?” Odpowiedziałem, że to wcale nie jest takie proste: jeżeli Prezydent zdecydowałby się wyznaczyć go wbrew p. Mikołajczykowi, do czego ma prawo, w takim razie nie jest do tego potrzebne osłabienie, choćby chwilowe krytyki ugodowej polityki rządu. Jeśli zaś, na co raczej wygląda, osłabienie jest potrzebne dla uzyskania zgody i protekcji p. Mikołajczyka, w takim razie sądzę, że na stanowisku N[aczelnego] W[odza] uzyskany z takiej protekcji gen. Anders byłby bardziej uzależniony i słabszy niż przy zachowaniu linii na stanowisku d[owódcy] Korpusu. Kontrargumentu Świdzkiego nie znalazł. Było widoczne, że jego celem było sklonienie nas do wstrzymania się z decyzjami. Muszę jednak przyznać, że skutek mógł być tylko przeciwny. Poprzednio bowiem mogliśmy sobie od biedy wyobrazić, że taktyka „przeczekania” paru czy kilku tygodni wynika z posiadania jakichś nieznanych nam elementów z dziedziny polityki zagranicznej, które pozwalają spodziewać się jakichś wydarzeń ważnych dla sprawy polskiej. Tymczasem okazało się, że chodzi jedynie o sprawę — personalną. To mogło tylko utwierdzić nas w decyzji.

Wkrótce po odprawie przyszedł do mnie por[ucznik] Telmany, młody, dość sympatyczny robiący wrażenie oficer, podobno ekonomista ze Lwowa, którego przelotnie poznałem w Bagdadzie, a który niedawno przyjechał po dłuższym pobycie w Anglii i właśnie został wyznaczony na miejsce Giedroycia na szefa referatu prasy i wydawnictw, które to stanowisko Gierat powierzył już Piestrzyńskiemu, na co się generał nie zgodził. Niektórzy łączą to z sugestią gen. Beaumont-Nesbitta, o której m.in. wspominał Św[ięcicki] — że stanowisko po Giedroyciu nie powinien objąć nikt z redakcji „Orla” — nie chcę w to jednak wierzyć, by gen. Anders zgodził się aż na uleganie tego rodzaju wręcz już nieprzyzwoitym interwencjom obcych w nasze sprawy.

Ów tedy Telmany męczył mnie blisko godzinę, że nie powinniśmy podawać się do dymisji, ponieważ robota, którą robimy, jest ważką i potrzebną, a nasza linia jest słuszna i prawdopodobnie już za kilka dni, najdalej za dwa tygodnie stanie się ponownie aktualna. Muszę przyznać, że wywarł na mnie raczej korzystne wrażenie człowieka poważnego i szczerze zatroskanego, ale oczywiście nie zmieniło to mego stanowiska, bo nie mógł mi dostarczyć nowych elementów.

Wieczorem tego dnia i jeszcze następnego mieliśmy znowu długie rozmowy już w swoim zamkniętym kole. Stało się jasne, że ustępujemy z propagandy, ponieważ wypadki poszły przeciw naszej linii bardziej, niż to przewidywaliśmy. Natomiast za dużo czasu straciło się w tych rozmowach znowu na „przemówienia” i w rezultacie cały szereg zagadnień nie został ostatecznie sprecyzowany, co nam obecnie wylazi bokiem.

Mój punkt widzenia jest taki:

Decyzja rezygnacji z pracy w propagandzie jest złą, bardzo złą koniecznością. Dlatego złą, że przerywa ona pracę jeszcze daleko od dojrzenia, rozbija i usuwa grupkę stanowiącą bądź co bądź ośrodek myśli niepodległościowej i oporu przeciw rezygnacji, pozostawia żołnierza w bardzo trudnej sytuacji pozbawionego organu uświadamiającego, pomagającego mu kształtować własne sądy, posiadającego spory kapitał zaufania. Mniej jest ważne, że każdemu z nas to rozbitcie przynosi szkodę pozbawiając możliwości pracy bądź co bądź dającej satysfakcję stwarzania pewnych wartości i pochłaniającej prawie bez reszty.

Rzym, 22 listopada 1944 r., środa

Jakkolwiek tedy rozbitcie naszej pracy jest faktem, który oceniam bardzo ujemnie, stało się ono nieuniknione, skoro wyjaśniło się, że prowadzić jej jak dotąd już na pewno nie możemy. Wprowadzić Ryszard [Piestrzyński] parę razy podnosił, że np. w „Ku Wolnej Polsce” byliśmy jeszcze znacznie bardziej skrupowani i nie mogło być mowy o zamieszczeniu nawet takich artykułów politycznych, które dziś nie wywołują żadnych trudności, albo nawet są kwalifikowane jako „blade”. To prawda, ale zupełnie jest co innego przyjąć w trudne warunki i usiłować pomimo nich coś wykrzesać, a co innego zsuwać się po równi pochyłej. To trudno, „Orzeł” przestał być pisemkiem dla rozrywki żołnierza i zajęcia mu czasu, stał się jedynym na kuli ziemskiej jawnym organem zdecydowanej walki o rzeczywistą niepodległość i całość Polski, o godność polityki państwa polskiego, o niezależne stanowisko wojska. Z tego stanowiska wszelkie cofanie się byłoby przekreśleniem dorobku, pozbawieniem go wartości. „Orla” już obowiązuje własna przeszłość. Nie może

on bezkarnie stać się organem taktycznej rozgrywki o czyjaś buławę hetmańską. Czytelnicy nasi nie mogli by zrozumieć, i słusznie, zmian postawy wywołanych nieznanym im stanem przetargów o sprawy personalne.

Z drugiej zaś strony, jesteśmy przecież w wojsku, a wojsko zbudowane jest na zasadzie hierarchii i dyscypliny. Gen. Anders jest naszym dowódcą. Propaganda jest organem dowodzenia. Można było przez pewien czas iść trochę mocniej, niż zapewne by sobie tego życzył, ale nie ma sposobu iść wbrew jego wyraźnej woli. Właściwie zawsze w tej pracy przewidywałem, że może przyjść chwila konfliktu między moim rozumieniem potrzeby naświetlania rzeczywistości a intencją przełożonych i zawsze byłem na to przygotowany, że w tym wypadku — odejdę. Nie, żeby to odejście było rozwiązaniem pożądanym, czy dodatnim, ale że jest jedynym lojalnym i wobec sprawy, której się służy, czyli po prostu polskiej racji stanu, i wobec dowódcy.

Drugą przyczyną tej konieczności było, że dalsza praca przy jakimś połowicznym kompromisie nie mogłaby i tak trwać dłużej nad kilka tygodni. Stało się przecież jasne, że pod wpływem wszelakich Bąkiewiczów, Strońskich, a przede wszystkim Anglików, samodzielność polityczna „Orla” stała się niepożądana. Postanowiono zrobić z pisma organ „dyspozycyjny”. Z drugiej zaś strony zdawano sobie sprawę, że pójście za radą Bąkiewicza wylania nas od razu wszystkich narobiłoby niepotrzebnego rozgłosu, a nadto wywołałoby dużo trudności w zastąpieniu nas. Przyjęto więc praktyczniejszy plan działania: likwidowania opornych na raty, aż do chwili, gdy paru pozostałych nie będzie już mogło ani chciało się upierać przy swoich „niezlomnych” przekonaniach.

Także i od innej strony nie mogłem zostać: już dymisja Czapskiego miała związek z „Orlem” a Giedroycia i Gierata — bardzo ścisły. Gdybym się zgodził na to, że za treść pisma wylatują zwierzchnicy, a ja nie ponoszę odpowiedzialności — zdegradowałbym się sam z roli naczelnego redaktora do roli nieodpowiedzialnego sekretarza redakcji.

Skoro tedy nie tylko nie było mowy o realizacji naszych postulatów wzmocnienia linii, ale i krytyka „Orla” i konfiskata już wydrukowanego artykułu Mieroszewskiego przekreślająca numer i wprowadzenie akceptowania treści pisma przez władze Oddziału i dymisji Gierata — stworzyły zupełnie jasny, choć niewesoły obraz — podanie się nasze do dymisji stało się nieuniknione. Natomiast, jak wspomniałem, nie udało się dostateczne uzgodnienie stanowisk, co do dalszej taktyki.

Rzym, 24 listopada 1944 r., piątek

W moim przekonaniu, o ile już trzeba odejść, to należałoby zrobić cały wysiłek, by to odejście nie marnowało dotychczasowego dorobku, a tylko wzmacniało jego wartość. Dlatego powinno być demonstracją, która zostałaby zrozumiana tak u dołu, przez ogół czytelników, jak i u góry. Sądzę, że wydarzenie z krytyką nru 36 i konfiskatą artykułu Mieroszewskiego, a więc pośrednio całego nru 37 ułatwiło nam zadanie. O ile bowiem ustępowalibyśmy z powodu, że generał nie chce zaostriżyć taktyki na nasze żądanie, to byłaby podstawa dość krucha i dziś skłonny jestem, mniemać, że ówczesnej uchwały dostatecznie nie przemyśleliśmy. Jeszcze słabiej by rzecz wyglądała, gdyby trzeba było podawać takie motywy, jak zwiększenie kontroli nad pismem, czy inne natury organizacyjnej, nie ideowej. Tymczasem dostaliśmy doskonały niewątpliwej wartości argument polityczny: dowód, że nie wolno nam kontynuować dotychczasowej nieugiętej linii. Aby wrażenie było dostateczne, proponowałem wydać zwiększony nr 37/38 z udziałem możliwie całego zespołu, idący zupełnie po dotychczasowej linii, mocny, ale nie prowokujący. Przedtem już zgłosić nasze dymisje, motywując każdy inaczej, ale wszyscy z powodu niemożności utrzymania linii. Gdyby w numerze chciano porobić zasadnicze zmiany — nie wydać go wcale. A następny, gdyby jeszcze nie przyszła nowa redakcja, wydać zupełnie apolityczny sklejony głównie z leżących w tecce materiałów bez artykułów przez nas pisanych. Poza tym wyobrażałem sobie, że dymisja powinna objąć możliwie spore grono, a więc prócz redakcji „Orla” (z wyjątkiem naturalnie Janka Ostrowskiego, który będąc redaktorem technicznym nie ponosi odpowiedzialności ideowej) i Gierata, także Gorgoła, Skorupskiego, Janikowskiego, możliwie redakcję „Dziennika” ew. nawet Naglerową, redaktorkę „Ochotniczki”. Wyobrażałem sobie także, że wychodzący nie przyjmą żadnej pracy choćby pośrednio związanej z oddziaływaniem ideowym. Mam wrażenie, że wynikiem byłaby ogromna trudność zmontowania nowego aparatu, zrozumienie w Korpusie, że się zmieniło na gorsze i nacisk pretensji o to od dołu w górę. Jeżeli nawet nie doprowadziłoby to z czasem do umożliwienia nam powrotu — zapewne nie, bo na to już nie pozwoliłaby ambicja — to przynajmniej bardzo utrudniłoby dalsze ześlizgiwanie się z linii.

To znaczenie demonstracyjne docenili oprócz mnie bodaj tylko Kopeć i Ulatowski, Kopeć nawet żądał niewydawania już numeru znajdującego się na warsztacie, co nie miałoby sensu, gdyż moglibyśmy być usunięci za odmówienie wykonania rozkazu i konflikt z płaszczyzny ideowej przesunąłby się na dyscyplinarną. Udało się również po dłuższej dyskusji doprowadzić do uchwały, że numer na warsztacie jeszcze będzie polityczny, dla podkreślenia kontrastu z następnym.

Nazajutrz, 31 X, podali się do dymisji w drodze rozmów ze Świącickim: Piestrzyński, Kopeć, Żaba, a Ulatowski złożył prócz tego pismo politycznie uzasadniające, nie wydaje mi się, żeby najczęściej sformułowane. Ja postanowiłem również napisać pismo i wręczyłem je Świącickiemu dnia następnego. Treść tego pisma przytaczam dosłownie:

Józef Poniatowski por., redaktor naczelny tyg. „Orzeł Biały” M.p. dn. 31.8.1944 r.

Dowódca 2. Korpusu, w m.o. (drogą służbową)

Melduję prośbę o zwolnienie mnie ze stanowiska redaktora naczelnego tygodnika „Orzeł Biały”. Prośbę swą uzasadniam jak następuje:

Równo przed dwoma laty z rozkazu Pana Generała objąłem redakcję czasopism wojskowych, a następnie „Orla”. Przez cały czas pracy w Iraku i Palestynie stwarzał Pan General korzystną atmosferę pracy redakcji darząc ją zaufaniem, zachęcając, broniąc na zewnątrz, a przede wszystkim dając wyraźną i [nieczytelne] linię ideową, zgodną z przekonaniami zespołu redakcyjnego o słuźeniu polskiej racji stanu i zostawiając dużą swobodę w wykonaniu tej linii oraz łatwość bezpośredniego kontaktu z Panem Generalem w wypadkach wątpliwości.

Skoro spotykały nas ze strony Pana Generała pochwały, nie nagany, widzę w tym potwierdzenie, że pracowaliśmy lojalnie i właściwie.

Od kilku miesięcy dowiadujemy się już nie o uznaniu, ale o zastrzeżeniach Pana Generała do naszej pracy, chociaż na terenie włoskim wysiłek raczej zwiększyliśmy, nie zmieniając, a tylko pogłębiając linię ideową w myśl wytycznych Pana Generała i zgodnie z rozwojem sytuacji. W szczególności pplk. dypl. Bąkiewicz, wyznaczony przez Pana Generała jako oficer do zleceń, któremu podlegała propaganda, dawał na każdej odprawie wyraz niezadowolenia z wyników naszej pracy. Na przedostatniej odprawie pplk Bąkiewicz zakwestionował, o ile zrozumiałem, jedną z podstawowych składowych ideologii aprobowanej poprzednio przez Pana Generała — koncepcję współpracy narodów Międzymorza. Nie mogłem uzyskać ściślejszych wyjaśnień, ponieważ rozmowy, na którą się zgłosiłem, nie uzyskałem.

Na ostatniej swej odprawie pplk Bąkiewicz przedstawił nam, jako wytyczne udzielone przez Pana Generała po powrocie z Londynu, poglądy, których bez wyjaśnienia nie mógłbym zrozumieć, ani zastosować. Dyskusji nie dopuścił, natomiast wezwał by ci, którym te poglądy nie będą odpowiadały, co wyraźnie przewidywał, [nieczytelne] do pracy w propagandzie. Dodał jednak, że w najbliższym czasie Pan General zamierza odbyć z nami odprawę, wobec czego uważałem za konieczne wstrzymać się z decyzją.

Odprawa nie nastąpiła, natomiast ostatnio zasłyły fakty świadczące o zaniku zaufania Pana Generała do pracy redakcji, a także i do linii politycznej przez nią reprezentowanej. Wprawdzie na niedawnej odprawie Szef Oddziału po rozmowie z Panem Generalem zakomunikował, że wytyczne pozostają bez zmian, wszakże w parę dni potem zażądał okazania mu do kontroli całej treści znajdującego się w robocie numeru, wprowadził do dwóch artykułów szczegółowe zmiany idące po linii łagodzenia krytyki rezygnacyjnej polityki premiera, a więc sprzeczne z dotychczasowymi wytycznymi i wynikającą z sytuacji koniecznością ostrzegania, jeśli nie będzie za późno.

Dn[ia] 27 bm. okazał mi Szef Oddziału depeszę Pana Generała, z której wynika, że w nr. 35 „Orla” drukując artykuł *Elementy decyzji* i notatkę *Z ostatniej chwili* przekroczyliśmy wytyczne. O ile w artykule mogła zajść rozbieżność w ocenie tego lub innego wyrażenia, o tyle nie jestem w stanie wyjaśnić sobie, w jaki sposób mogła być przekroczeniem wytycznych notatka, zredagowana bardzo spokojnie, mniej ostra od wielu wystąpień drukowanych dawniej bez zastrzeżeń, a nawet z aprobatą Pana Generała.

Na odprawie dn[ia] 30 bm. Szef Oddziału i jego zastępca poinformowali redakcję ponownie o niezadowoleniu Pana Generała z ostatniego numeru „Orla”, a także o tym, że Pan General zażądał przedłożenia sobie politycznych [nieczytelne] numeru następnego.

Wreszcie nadeszła decyzja Pana Generała zakazująca ogłoszenia już wydrukowanego z poprawkami Szefa Oddziału artykułu [Juliusza] Mieroszewskiego, jakkolwiek oznacza to zniszczenie nakładu i niedostarczenie czytelnikom numeru. Muszę stąd wnosić, że powodem decyzji nie były drobne szczegóły, ale zasadnicza niezgodność artykułu, dowodzącego w spokojnej, chociaż dobitnej formie, że olbrzymia większość narodu polskiego sprzeciwia się kapitulacyjnej polityce p. Mikołajczyka, uznając jednocześnie w całości legalność jego rządu — z intencjami Pana Generała.

Ponieważ uważam się za wykonawcę na odcinku powierzonym wielokrotnie manifestowanej woli Generała twardej i nieustępliwej polskiej racji stanu przed kapitulacyjną, a w sytuacji nie widzę elementów, które uprawniałyby do zmiany tej linii, a choćby jej złagodzenia — przeciwnie, wydaje się bardziej niż kiedykolwiek niezbędne powołanie do steru rządów ludzi, którzy potrafią zapobiec katastrofalnym zakusom obcych mocarstw — nie umiałbym prowadzić pisma po linii, której przesłanek nie jestem w stanie zrozumieć. Zarówno lojalność żołnierska wobec Dowódcy, jak i lojalność obywatelska każą mi w tej sytuacji prosić Pana Generała o zwolnienie mnie od pełnionych obowiązków.

Józef Poniatowski por.

Rzym, 25 listopada 1944 r., sobota

Rotmistrz Świącicki każdemu z nas powiedział, że nie wie, czy dymisje nasze będą przyjęte i raczej sądzi, że nie. Wobec tego, rozmawiając z nim jako ostatni, prosiłem o za [nieczytelne] wobec generała, że tego nie traktuję bynajmniej jako próbę zastraszenia czy szantażu, ale składam dymisję prosząc z naciskiem o jej przyjęcie, gdyż ponoszenie nadal odpowiedzialności za pracę ideową nie byłoby już dla mnie możliwe w powstałych warunkach. Zawiadomiłem go także, że bieżący numer zamierzamy wydać po dotychczasowej linii, natomiast radziłobyśmy już nie robić następnego. Na zapytanie, co chciałbym robić po ew[entualnym] wyjściu z „Orla”, odpowiedziałem, że nie mam szczególnych dezyderatów, że w każdym razie chciałbym uniknąć prac związanych z propagandą, natomiast wolałbym jakieś czekanie np. w rezerwie oficerów, gdzie mógłbym przynajmniej czytać i pisać niż funkcję administracyjną.

Świącicki pojechał z tym do generała, my zaś mieliśmy jeszcze wieczorne zebranie u Janikowskiego, na które nie przyszedł już Piestrzyński, wymawiając się zmęczeniem, ani Ulatowski, który obraził się, że nikt nie chciał czekać, aż on zje kolację (choć o umówionej godzinie wiedział zawczasu). Wspominam o tym dlatego, by odmalować nastrój tej dziwnej mieszaniny hysterii, wzajemnych niechęci, obraz itp., która utrudniała niezmiernie dogadanie się w sprawach podstawowych.

Na tym zebraniu postanowiliśmy ostatecznie nie przyjmować stanowisk propagandowych, z wyjątkiem ew[entualnej] pracy we Francji, jako na terenie dość teoretycznie tylko podlegającym dyrektywom d[owó]dcy Korpusu, oczywiście w części południowej, bo północna podlega I Korpusowi i Londynowi. Mówiono też, że może być pożądana praca w tzw. „dobrobycie żołnierza” (*Welfare*), dająca możliwość jeżdżenia i komunikowania się.

Jeszcze w końcu października przyjechał Julek [Juliusz Poniatowski, brat stryjeczny, były minister rolnictwa] i brał udział w jednej z naszych narad, a oprócz tego rozmawiałem z nim przez te kilka dni, które tu był, sporo godzin. Bardzo zawsze krzepiąco na mnie wpływa rozmowa z nim, jako człowiekiem, do którego charakteru ma się stuprocentowe zaufanie. On stoi na stanowisku, że zanadto pośpieszyliśmy się z ustąpieniem, że ta praca była tak ważna, że należało ją pomimo wszystko kontynuować do granic możliwości. Sądzę jednak, że ten sąd wypływa z niedoceniania, albo nieposiadania wszystkich elementów, które właśnie czyniły, że dalsza praca byłaby marnowaniem pracy poprzedniej.

W tym samym czasie spędziliśmy jeden wieczór w towarzystwie gen. Sulika, d[owó]dcy 5. dywizji, który odwiedził nas w „Patrizii” (pensjonat w którym mieszkamy), rozmawiał bardzo otwarcie i sympatycznie, zrobił jak najkorzystniejsze wrażenie. Zapewne nie jest to żaden polityk, kiepski mówca, nie umie gładko formułować swoich myśli, wygląda ze swymi wąsami raczej na ekonoma niż na współczesnego generała. Ale z tym wszystkim dobrze mu z oczu patrzy, widać, że jak coś zrozumiał, to już wyciąga z tego konsekwencje, człowiek uczciwy i nie bez odwagi cywilnej. Szkoda, że podobno mają go spławić do Anglii. Siedział u nas aż poza północ.

Po paru dniach wrócił Świącicki. Oświadczył mi, że generał przyjął dymisję moją i Ulatowskiego (te dwie, które były na piśmie), że wyrażał się o mnie jak najlepiej, że jest dla mnie pełen

szacunku itd., że żałuje, że ja do niego nie mam zaufania i że w 3 miesiącach owego podania zamieściłem sugestię, jakoby on zmienił linię, co bynajmniej nie odpowiada rzeczywistości. Co do reszty kolegów, to na razie muszą zostać, a potem jeśli się będą upierali, to generał rozważy możliwość ich zwolnienia. Potem Świąćicki] rozwinął przede mną projekt rozbudowy redakcji „Orla”. Objąć ją miałby na razie Piestrzyński, a gdy przyjedzie sprowadzony z Anglii Wasiutyński, to Piestrzyński będzie mógł zdecydować, czy zatrzyma redakcję, czy też wyjdzie. Ma również przyjechać Nowakowski, ale raczej do teatrów niż do prasy, ma się ściągnąć z wojska Kobrzyńskiego, Grudzińskiego, kilku innych. Odniosłem wrażenie, że nie ma w tym ani jednej indywidualności publicystycznej z wyjątkiem Wasiutyńskiego, w którego jednak przyjazd w tych warunkach nie bardzo wierzę. To zwiększałoby szanse naszej demonstracji.

Ponieważ przyjazd rotmistrza nastąpił już po wyjściu naszego politycznego numeru 36/37, musiałem więc zacząć numer następny, ale uprzedziłem Telmanyego, że zamierzam go zrobić jako apolityczny, bez artykułów politycznych (z wyjątkiem informacyjnych i to spoza redakcji) i nawet bez przeglądów. On stanął na stanowisku, że trzeba dać przynajmniej przegląd tygodniowy wydażeń, choćby zrobiony „po profesorsku”, czysto informacyjny. Po powrocie rotmistrza zreferowałem mu tę sprawę. On zajął to samo stanowisko, co Telmany. Powiedziałem, że zakomunikuję o tym Piestrzyńskiemu, ale nie wiem, czy będzie on w stanie podjąć się napisania, zresztą może rotmistrz zechce sam z nim o tym pomówić.

Nazajutrz miała miejsce ta ich rozmowa i od tego czasu zaczyna się dziwna polityka Ryszarda [Piestrzyńskiego]. Nie tylko napisał przegląd, ale wstawił pod koniec takowego dwa wstępy najzupełniej ideowo-polityczne, właśnie dotyczące sporu polsko-rosyjskiego a więc w silnym stopniu przyczynił się do zamazania różnicy między poprzednim numerem „naszym” i tym, robionym rzemieślniczo i z konieczności. Coraz też jaśniejsze zaczęło się stawać, że redakcję gotów jest objąć poważnie, ułatwiając władzom wybrnięcie z sytuacji. Zaczął coraz częściej oświadczać, że jest przeciwnikiem numeru politycznego (sam był projektodawcą, by poprzedni numer był apolityczny) że powinniśmy wyzyskiwać każdą możliwość działania politycznego, że nasze decyzje były przedwczesne, że każdy musi robić w wojsku to, co mu każą itd. Obecnie jeszcze wstrzymuje się od pisania w „Orle” politycznych artykułów, ale pisze przeglądy, stara się o materiały, zamawia ideowe artykuły u ks. Bocheńskiego, drukuje polityczne „dokumenty”, do „Ochotniczki” obiecał już artykuły polityczne. Że zaś jest naprawdę rasowym dziennikarzem wysokiej klasy, więc pomimo braku naszej współpracy jest w stanie wydawać „Orla” na poziomie trochę niższym od dawnego i bardziej uzgadnianym z władzami, ale uniknąć kontrastu, z którego czytelnik musiałby zrozumieć, że coś się stało.

Do zmarnowania strony demonstracyjnej i zamazania sytuacji przyczynił się również Gierat, który wprawdzie nie idzie na kompromis i sam wychodzi, ale skłonił Siutę i Wachałę, żeby zamiast wychodzić z propagandy przeszli do redakcji dziennika powstającego w Bari, nie nacisnął Rubla, który najpierw obiecał ustąpić, a potem, jak to było do przewidzenia, został, nie nacisnął również ks. Bocheńskiego i ks. Meysztowicza, żeby przestali zasilać „Orla”. Ponadto zgodził się, choć to dwukrotnie odradzałem, na urządzenie pożegnalnej kolacji dla niego i dla mnie przez ogół oficerów Propagandy, z udziałem coś 27 osób i wygłosił na tym przyjęciu długie przemówienie jakby programowe, czy uzasadniające jego politykę, nieźle zresztą zbudowane, ale to miało ten skutek, że zamazywało przepaść, którą raczej należało uwidocznić między nimi i nami. W dodatku w tym przemówieniu niespodzianie dla mnie dość obszernie wspominał, że on był zwolennikiem szerszego uwzględniania momentów społecznych, na co ja, jako „liberał” nie chciałem się zgodzić. Akurat dobry czas i dobre audytorium na podkreślenie różnic wewnętrznych między nami, zresztą mało istotnych w tej chwili, gdy gra idzie o samo istnienie Polski.

Rzym, 28 listopada 1944 r., wtorek

Opisałem te swoje wątpliwości dla większej dokładności ale oczywiście czuję się i sam współodpowiedzialny za niedociągnięcie do końca zawczasu zagadnienia, czy chcemy zastosować poważną demonstrację, czy nie chcemy. Wydawało mi się to tak jasne, że nie widziałem konieczności dalszego wyjaśniania. Okazuje się, że i tu byłem nadmiernym optymistą.

Gierata, pomimo tej niezgodności i pomimo, że czasem mnie trochę drażni swą nieco techniczną, a nieco mentorską postawą wobec wszystkiego i wszystkich, cenię bardzo wysoko i chętnie współpracowałbym z nim nadal. Nie jest tak błyskotliwy jak np. Ulatowski, nie zawsze miewa łatwość

formułowania, ale za to łączy zdrowy sąd i na ogół dostatecznie przenikliwą obserwację, z dużą solidnością, a tę ostatnią cechę nauczyłem się szczególnie cenić. Najczęściej łączy się ona u ludzi bądź z safandulowością, bądź też z brakiem inteligencji. On zaś szczęśliwie łączy solidność z inteligencją ponadprzeciętną i ze sprawnością realizacyjną. Poza tym jest na tle ogólnej hysterii jednym z niewielu ludzi opanowanych nerwowo, zwykle jest pogodny, łączy trzeźwy pesymizm w ocenie faktów z optymistyczną wiarą w dalszą metę, wreszcie umie zdobywać się na autorytet i narzucanie swej woli innym, nie wpadając w zbyt jaskrawą manierę patrzenia z góry na ludzi. Przed wojną znałem go mało i uważałem raczej za typowego inteligenta frazeologa bez głębokiej wypracowanej koncepcji. Dziś widzę, że się myliłem: nie ma on może wszystkich zagadnień rozwiązanych — któż może je wszystkie rozwiązać — ale szuka bardzo uczciwie i poważnie. Wyrazem jego optymistycznej postawy ogólnej jest m.in., że wciąż jest gorąco przejęty sposobem urzędowania Polski po wojnie, gdy szansa na to, by ją w ogóle można było swobodnie urządzać, jest w tej chwili obiektywnie nikła. Ja zresztą także zachowuję więcej optymizmu, niżby na to pozwalały przesłanki ściśle racjonalistyczne — może to jest samoobrona organizmu.

Gdzieś koło 10 listopada odbyło się jeszcze jedno liczniejsze zebranie w pokoju Tadeusza [Kopcia], niby także o charakterze pożegnalnym (ale znacznie wcześniej niż tamte, ogólne, które były dopiero 21 XI), ale faktycznie przeistoczyło się w dyskusję, chwilami dość ostrą i przykrą. Oprócz redakcji i Gierata był Czapski, Milczer, Gorgol, Sapiński, Zieliński (ci dwaj nazajutrz wyjeżdżali), bodaj ktoś jeszcze. Ostatecznie nic ciekawego się nie wymyśliło, natomiast przy tej okazji poinformował mnie Czapski, że pułk[ownik] dyp[lomowany] Piątkowski, wezwany do Londynu na stanowisko i zastępcy szefa sztabu głównego, mówił mu w przejeździe, że zamierza zawezwać mnie do Londynu. Jak się później dowiedziałem, Wacek Sikorski rozmawiał z nim o tym i prawdopodobnie mu to zasugerował. Pono Piątk[owski] rozmawiał o tym z Andersem, który oświadczył, że nie będzie stawiał przeszkód. Wiadomość ta trochę mnie zakłopotała, bo co tu z taką ofertą robić? Do jej przyjęcia najbardziej namawiał Piestrzyński, natomiast Gierat wyraźnie radzi odmówić, a inni raczej zachowują rezerwę. Dotąd nie otrzymałem wezwania (choć podobno nadeszło do Korpusu), więc i nie potrzebowałem odpowiadać, ale po namyśle doszedłem do przekonania, że trzeba odmówić. Oczywiście, byłoby szalenie ciekawe znaleźć się w W[ielkiej] Brytanii, poznać tamtejsze nastroje, zobaczyć kupę kolegów i znajomych, których kilka lat nie widziałem, może nawet udałoby się uzyskać jakąś drogę dodatniego oddziaływania. Ponadto Piątkowskiego bardzo wysoko cenię, uważam za jednego z najlepszych naszych oficerów, a zdaje się, że i on jest mi szczerze życzliwy. Ale przemawiają dwa względy za odrzuceniem propozycji: 1) nie bardzo wypada porzucić Korpus, na którego postawę psychiczną usiłowało się wpływać przez 2 lata, w chwili gdy może on właśnie stanąć przed trudnymi decyzjami; 2) jakkolwiek Piątkowski jest na pewno ideowym człowiekiem wielkiej wartości, ale też jest zawodowym oficerem i podobnie jak gen. Kopański, którego ma być zastępcą, chciałby uniknąć wciągania wojska do polityki, a zdaje się, że właśnie gen. Anders miał za złe nadmierne rozpolitykowanie wojska. Nie ulega też wątpliwości, że gen. Kopański, jakkolwiek w okresie kryzysu na stanowisku Naczelnego Wodza zachował się formalnie poprawnie, to jednak pośrednio gen. Sosnkowskiemu zaszkodził, zajmując postawę neutralnego fachowca i przyjmując po dymisji Sosnk[owskiego] stanowisko jego quasi-zastępcy czy następcy. Otóż znaleźć się odosobnionym wśród tej grupy doskonałych i doskonałe apolitycznych oficerów w chwili, gdy sytuacja może kategorycznie wymagać działania — to mogłoby być bardzo głupio.

Niedawno przyszedł wreszcie z Korpusu rozkaz przenoszący mnie do wydziału Dobrobytu Żołnierza II Korpusu. Trzeba więc będzie lada dzień pojechać, zameldować się majorowi Ślepec-kiemu.

Józef Poniatowski
(podał do druku i oprac. Florian Śmieja)